

OKOLICE ZAGÓROWA

Około 120 km na południowy wschód od Poznania, w kierunku Łodzi, osiedliło się jakieś 150 lat temu wielu emigrantów niemieckich. Było tam około 30 wsi. Okolice ta robiła wrażenie jakiejś niemieckiej oazy. Wioska przy wiosce, wszystko niemieckie, wśród puszczy, bez żadnych dobrych dróg dojazdowych, do najbliższej stacji kolejowej było około 50 km. Nie tylko w czasie I wojny światowej, ale również podczas drugiej uchroniły się te osiedla przed większymi zniszczeniami.

W latach trzydziestych, chyba w roku 1934 lub 1935, wędrował przez te okolice nowo nawrócony wieśniak nazwiskiem Liefke. Dokąd przyszedł, tam składał gorące świadectwo o Jezusie, aż poczuł się skłoniony przez Ducha Bożego, by zorganizować nabożeństwo. Mnóstwo ludzi zeszło się wówczas i wielu się nawróciło. Był on znajomym brata Oskara Ledermanna ze zboru w Łodzi. Pewnego dnia zawitał tu również brat Oskar i we dwójkę głosili teraz nie tylko pokutę i nawrócenie, ale również Boże przykazania. Wielu przyjęło chrzest i w ten sposób została założona społeczność, mimo ostrego zwalczania ze strony Kościoła ewangelickiego. Brat Liefke udał się wówczas w inne strony, a całą pracę przejął Oskar. Miał on potem wstąpić do Szkoły Biblijnej w Gdańsku. Chodziło więc o zastępstwo. Pewnego razu brat Artur Bergholz prowadzący zbór w Łodzi i kierujący całością, wezwał mnie do siebie i powiedział:

— Gerhardzie, co powiesz na temat pewnego odludzia, gdzie są jednak przemiłe kwiaty, nie do zrywania, lecz by się o nie troszczyć i pielęgnować je?

Już wiedziałem o co chodzi.

— Tak — powiedziałem — jeśli zależy ci, bracie, by mnie tam wysłać, to chętnie pojadę. Na pożegnanie jeszcze dodał:

— Oczywiście nie zapomnij, żeby założyć tam nowe ogrody.

Zrozumiałem. To, co już istniało, należało tak pielęgnować, aby dołączyły się nowe miejscowości.

Gdy przyjechałem tam, brat Oskar (którego jeszcze nie znałem) wyjechał już był do Szkoły Biblijnej, a bracia starsi tych zborów przyjęli mnie z radością. Zgromadzenia odbywały się w bardzo obszerne domach wiejskich. Zbór liczył około 50 członków i 20 przebudzonych, którzy pochodzili z kilku wiosek. W każdej z nich trzeba było służyć raz w tygodniu. W pierwszą niedzielę miesiąca organizowano uroczyste nabożeństwo połączone z Wieczerzą Pańską. Ludzie przybywali tu ze wszystkich okolicznych miejscowości. Już w siedmiu odbywały się zgromadzenia. Zadawałem sobie wciąż pytanie, jak mogą te nowe zbory powstać, skoro w każdej miejscowości mam być raz na tydzień. Bracia i siostry byli pełni entuzjazmu, radośnie śpiewali i usługiwali swymi świadectwami. Byli jeszcze wypełnieni jakby pierwszą miłością. Pan wiedział, jak wszystko poprowadzić i dzień po dniu, krok po kroku odkrywał mi Swe drogi.

Wstawałem wcześniej, każdego dnia bowiem mieszkałem gdzie indziej, u różnych gospodarzy — naszych braci i siostr. Jakżeż mogłem wstać później niż oni sami? Jako młody człowiek byłem „rannym ptaszkiem”. Latem już o godzinie czwartej o świcie klęczałem z Biblią, zazwyczaj do szóstej. Potem jadłem z nimi śniadanie i mieliśmy poranne nabożeństwo. Później gospodarze moi szli w pole, a ja wędrowałem do następnej wioski. Ale do wieczora miałem przecież dużo czasu. Robiłem więc sobie stale wycieczki do innych wiosek, gdzie często rodziły się cudowne więzi i gdzie proszono mnie o

organizowanie zgromadzeń.

Kiedy opowiadałem potem o tym moim kochanym braciom, odpowiadali: „Idź tam i zorganizuj zgromadzenie. Będziemy się za ciebie modlić. A jeśli będzie ci zbyt ciężko, to pomożemy ci “zarzucić sieci”. Ci ludzie byli tacy prości, tak nieskomplikowani i brali wszystko z Bożej dłoni.

Po niedługim czasie musiałem opiekować się dodatkowo jeszcze trzema miejscowościami. Pan Bóg ratował wówczas cudownie dusze ludzkie i chrzczył świeżo nawróconych swym Świętym Duchem. I szczególne to, że przy nawróceniach było wiele płaczu, a często także podczas czekania na chrzest w Duchu Świętym. Radość wtedy była jeszcze większa. Bywało wylanie Ducha Bożego, mimo że nie modliłem się nawet na językach. Kto jednak został ochrzczony Duchem Świętym, ten mówił nowymi językami.

Odwiedzałem wiele domów i u świeżo nawróconych odbywały się godziny biblijne. Zdarzało się nieraz, że przypadkowo przyszedł ktoś obcy. Ludzie tacy przysłuchiwali się i nierzadko także oni się nawracali podczas takich odwiedzin, albo przychodzili na najbliższe spotkanie i dzielili się swym nawróceniem. Było w zwyczaju przyprowadzić chorych do Pana. Rzadko kiedy korzystano z porady lekarza, który mieszkał daleko. Jezus natomiast był zawsze blisko nas. Również w czasie mojej nieobecności modlono się o chorych, a bracia starsi spełniali swój obowiązek nakładając na nich ręce i prosili Pana o zwycięstwo przez wiarę.

Na początku nie miałem nawet roweru. Wszystkie drogi przemierzałem piechotą. W pierwszą niedzielę miesiąca musiałem wczesnym rankiem maszerować rażno niekiedy 20 km, po czym organizować 2 nabożeństwa, a wieczorem jeszcze wygłaszać kazanie w jakiejś innej miejscowości. Często towarzyszyli mi bracia i siostry, i wtedy szło się ze śpiewem.

Kościół ewangelicki był bardzo nam przeciwny i mobilizował przeciw nam wszelkie możliwe siły, kiedy to Pan Bóg dawał łaskę otwarcia jakichś nowych zgromadzeń. Była tam pewna miejscowość o nazwie Wielolęka. Bardzo bezbożnie się tam żyło. Ludzie pili bimber i nierzadko dochodziło do bójek. Pewna starsza siostra, nawrócona już od kilku lat, poprosiła mnie o zorganizowanie spotkań. Choć bardzo bała się pastora, to jednak dała do dyspozycji swój wiejski dom. Jej zięć też okazywał zainteresowanie Ewangelią. Poza tym było tam spokojnie i nikt nie przeszkadzał, dopóki nikt jeszcze się nie nawrócił. Duch Boży działał jednak na dusze ludzkie i pewnego wieczoru nawróciło się 6 osób, wśród nich także mężczyźni. Wtedy rozpętało się piekło. Grożono nam podpaleniem, jeśli będziemy prowadzić dalsze nabożeństwa. A jednak przyszło jeszcze więcej ludzi. I znów kilku z nich doznało przebudzenia. Inni więc chcieli się zemścić. Pastor obiecał im pomoc finansową, jak się o tym później dowiedzieliśmy. Upiło się około 20 mężczyzn i kiedy śpiewaliśmy pieśń „To jest źródło”, wtargnęli z kijami. I musiało się zdarzyć, że trafili w lampę. W ciemności nie mogli mnie znaleźć. Wymknąłem się jeszcze nocą do innej miejscowości. Niektórzy z braci i sióstr, zwłaszcza jeden z mężczyzn, który przed nawróceniem był sławetnym zabijaką, musieli ucierpieć dla Pana. Ale cieszyli się tym bardziej. Potem zadziałał Pan Bóg i dwóch prowadzących straciło życie w okropnym wypadku.

Również w innej miejscowości, w Emiliowym Gaju, napadnięto na nas w trakcie spotkania. Ale wierny Pan Bóg dał mi łaskę przetrwania. Zwłaszcza pewna dziewczyna w wieku około 19 lat była bardzo harda. Poprosiłem ją, by oddała swe serce Zbawicielowi, ale odrzuciła to opryskliwie. A potem zachorowała i umarła. Przed śmiercią odwiedziła ją jeszcze jedna z sióstr. Ona jednak odwróciła się do ściany i nie chciała nic wiedzieć o Jezusie.

Urządzono wielki pogrzeb. Z bliska i daleka zjechali się ludzie, zwłaszcza młodzi. Pastor Gross z Zagórowa sam prowadził ten pogrzeb. Również niektórzy z naszych braci i sióstr tam byli. Jeden z nich, Leonard Lehman, stał blisko grobu. I nagle odczuł jakby jakiś głos kazał mu się oddalić. Zaledwie odszedł parę kroków, błysnęło i zagrzmiało. Czterech ludzi się przewróciło, przy czym dwóch poniosło śmierć. Ludzie mówili: „Wyrok Boży”. Nic już dalej nie mówiąc pastor opuścił cmentarz. Teraz mieli spokój. Jeszcze do dziś, gdy gdzieś na Zachodzie spotykam kogoś z tamtych okolic, słyszę o tej interwencji Pana Boga, bo jest On przecież Panem natury (Hiob 36, 32).

Wielkie trudności mieliśmy, gdy ktoś spośród naszych umarł. Nie chciano wpuszczać nas na cmentarz. Młodym małżonkom umarło małe dziecko. Po długim chodzeniu tu i tam, pozwolono nam wreszcie wejść na cmentarz. Miejsce na grób dla dziecka dano nam z dala od innych grobów, w kącie. Ale to nas nie zniechęcało. Był to cudowny pogrzeb. Miałem kazanie nie do zmarłego, lecz do żyjących, którzy tu przybyli, aby zobaczyć jak „zielonoświątkowcy” chowają swe dzieci. Jako punkt wyjścia otrzymałem od Pana słowa: „Chrystus jest kamieniem węgielnym” wg I Listu św. Piotra 2,7-8. Boża radość wypełniła braci i siostry, a matka dziecka jeszcze tego samego dnia została napełniona Duchem Świętym.

Odległości były wielkie, wyżywienie zaś skąpe. Wielka bowiem bieda panowała w tych koloniach o glebie piaszczystej. Powoli traciłem na sile i wystąpiły u mnie dolegliwości serca. Chcieliśmy właśnie pójść z niektórymi braćmi i siostrami na spotkanie do pewnej miejscowości odległej o 8 km. Modliliśmy się na klęczkach przed wyruszeniem w drogę. Wtedy poczułem w sercu duży ból i było mi bardzo ciężko powstać. Bracia otoczyli mnie i modlili się. I dotrzymałem im kroku. Ale ledwo wtedy mogłem mówić. Na owym spotkaniu nawróciło się 5 osób. Normalnie przemawiałem zawsze pełnym głosem, tym razem jednak mówiłem cicho. A tymczasem właśnie dla tych uczestników był mój mocny głos często bodźcem. Teraz zaś mogłem im wyklądać Prawdę jedynie głosem słabym i cichym.

Po jakimś czasie pewien brat z Anglii zafundował mi rower. Otrzymałem wiadomość, że mam go odebrać z oddalonego o 50 km Konina. Było to akurat w styczniu. Jak do tego miasta dotarłem, dziś już nie pamiętam. W każdym razie szedłem kawałek piechotą, aż zabrała mnie jakaś furmanka. Przy takich okazjach nie należało oczywiście rezygnować z jakiegoś świadectwa na temat Jezusa. I było to zawsze radością. A radość u boku Pana jest mocą dzieci Bożych. Po wielu, wielu godzinach dotarłem tam i jeszcze wieczorem odebrałem rower. Nazajutrz wczesnym rankiem chciałem na nim wrócić. Wieczorem bowiem było zapowiedziane nabożeństwo w pewnej nowej miejscowości i nie mogłem go opuścić. Gdy się wcześniej przebudziłem, zobaczyłem ze strachem, że przez noc napadało dużo śniegu. Cóż teraz? Wstawać i w drogę. Do południa ujechałem około 30 km. Miejscami były takie zaspasy, że musiałem, brać rower na barki. Ostatni odcinek drogi był całkiem zawiany i nie mogłem w ogóle jechać. Wieczór się zbliżał, a ja miałem jeszcze przed sobą sześć kilometrów. Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Mógłbym przecież odpocząć u jakiegoś wieśniaka. Przenocowałiby mnie nawet. Ale tam — pierwsze spotkanie. Nie, tego nie mogłem uczynić. Siły mnie opuszczały. Wtedy ukląknę na śniegu, wzniosłem ręce do Boga i modliłem się, aby Pan nie pozwolił tym ludziom odejść, gdybym nawet miał się spóźnić. A potem zacząłem wielbić na językach mego Pana i Zbawcę. Nagle przeniknęła mnie jakaś cudowna siła, jaką przeżyłem niegdyś, wkrótce po swym nawróceniu. Wstałem, założyłem rower na barki i poszedłem rażnym krokiem na przełaj przez pola. Zdążyłem z punktualnością co do minuty. I już zaczęło się nabożeństwo. Kilka nowych dusz było wtedy wspinałym Bożym połowem.

Wkrótce przemierzałem rowerem dalsze drogi, zwłaszcza kiedy wiedziałem, gdzie się znajdują ci, którzy od nas odstąpili. Było mi ciężko nie odwiedzić kogoś z nich. Program mój był oparty na 15 rozdziale z Ewangelii św. Łukasza. I często musiałem głęboko się ukorzyć, kiedy przechodziłem koło kogoś zgubionego. Nieraz odszukiwałem ich nocą, gdy dowiedzieli się, że Krüger przyjechał i chcieli umknąć.

Pan wieńczył takie sposoby wspaniałymi zwycięstwami.

Nie miałem w ogóle żadnych kłopotów finansowych. W owym czasie miałem tylko jedno ubranie, ale wystarczało mi ono na niedziele i dni powszednie. W tym ubraniu odwiedziłem też moją przyszłą żonę. A żywili mnie przecież bracia. Czegóż więcej potrzebowałem? Jednakże pewnego dnia zrobiono mi niespodziankę, sprawiając mi nowe ubranie. Świetnie na mnie pasowało, patrzyliśmy na siebie i dziękowaliśmy Bogu z radością. Czułem się niegodny tak wielkiej miłości okazanej mi przez ubogich braci i siostry.

Wkrótce kończyła się moja służba w okolicy Zagórowa. Brat Oskar ukończył Szkołę Biblijną i wrócił z radością. Tylko przez krótki czas miałem być razem z tym drogim, ofiarnym bratem, bo potem brat Artur odwołał mnie do Łodzi. Wielu z tamtych braci i siostr żyje nadal w różnych stronach. Niektórzy są w Kanadzie (w stanach Hamilton i Winnipeg), w USA i w różnych regionach Niemiec. Dokąd tylko dotarli, tam niebawem powstał zbór.

Na koniec opowiem o pewnym przeżyciu. Bracia i siostry opowiedzieli mi o pewnym gospodarzu, który ma wierzącą żonę i także dzieci, ale nie pozwala na żadne odwiedziny ze strony innych wierzących. Głęboko zmartwiony oddałem wtedy tę sprawę Bogu. Pewnego dnia odczułem w sobie rodzącą się radość i poszedłem ich odwiedzić. Nie wszedłem jednak do domu, lecz do stodoły. Zastałem tam swego gospodarza. Pozdrowiłem go uprzejmie. Rozmawialiśmy o krowach, świniach, koniach, glebie, itd. Pochwaliłem jego zboże i piękny porządek w obejściu. Nie pytałem wcale o żonę i dzieci. Zobaczyły jednak, że przyszedłem i padły na kolana przestraszone, że ich ojciec mnie przepędzi. Tymczasem rozmawiałem z nim chyba z godzinę. Gdy już miałem odejść, powiedział:

— Pan jest wszakże kaznodzieją, prawda? Czy nie zechciałby pan odwiedzić moją żonę i dzieci?

— Bardzo chętnie, ale właściwie muszę już teraz iść.

— No, chyba znajdzie pan chwilę czasu.

Zaszedłem, by choć na krótko zobaczyć się z drogimi dla mnie osobami. Jak bardzo to przeżyli. Ojciec znacznie się zmienił i jego nieprzyjazne nastawienie ustąpiło. Obecnie jego córki i wnukowie mieszkają we wschodniej części Kanady, nawróceni. Są błogosławieństwem dla ludzi i nie ustają w modlitwie.